

WYDZIAŁ VI

Krajowi

Julia Hartwig **14 VIII 1921–14 VII 2017**

Życie Julii Hartwig było długie, pracowite, często spokojne, ciekawe, twórcze, niekiedy tragiczne. Ktoś, kto ją znał, musiał widzieć, że pod powierzchwnością jej pogodnego i eleganckiego sposobu bycia ukrywało się coś bardzo smutnego. Podobnie działo się w jej wierszach, które mają z wierzchu jasną barwę i nigdy nie krzyczą, lecz nie brakuje w nich bólu – chociaż była najdalsza od poetyki wyznania, spowiedzi, skargi.

Urodziła się w Lublinie w rodzinie artystycznej, jej ojciec i brat byli znanymi fotografami. Czas wojny spędziła głównie w Warszawie, brała udział w konspiracji. Czesław Miłosz zapisał wtedy: „odwiedziły mnie dwie młode poetki, Anna Kamieńska i Julia Hartwig”. Dla nas brzmi to nieomal sensacyjnie – w okupowanej Warszawie, o której Niemcy mówili, że jest w stanie permanentnej rebelii, w mieście, gdzie nikt wychodząc na ulicę nie mógł wiedzieć, czy wróci do domu, czy nie zostanie zastrzelony albo wywieziony do Auschwitz czy na roboty do Niemiec, trwały nadal odwieczne rytuały życia literackiego.

Po wojnie mieszkała przez kilka lat w Paryżu; poznała Ksawerego Pruszyńskiego i związała się z nim. Autor *Trębacza z Samarkandy* był wtedy ambasadorem w królestwie Holandii. Gdy jadąc z Hagi do Warszawy zginął w Niemczech w wypadku samochodowym – o którym mówi się, że jego okoliczności nigdy nie zostały wyjaśnione – poetka w Warszawie na próżno czekała na jego przyjazd.

Przez kilkadziesiąt lat była żoną Artura Międzyrzeckiego, również wybitnego poety i tłumacza, i uroczego człowieka. Jego też musiała pożegnać, gdy w roku 1996 przegrał walkę z chorobą nowotworową.

Oboje, Julia i Artur, wiedzieli, jak można przetrwać w kraju komunistycznej biurokracji. Nie wiem, czy powstała już praca o różnych sposobach na przejście przez nudne morze PRL-u. Z pewnością jednym z najważniejszych były przyjaźnie; Julia i Artur nie stronili od towarzystwa, na przykład przez długi czas zaprzyjaźnieni byli z Jerzym Turowiczem, który – nie tylko dla nich – był absolutnym wzorem prawości i, w tym szarym świecie, postacią przyciągającą uwagę, chociaż był mało mówny, wcale nie był „duszą towarzystwa”. A jednak okazuje się, że prawość może być widzialna. Innym sposobem na PRL były – dla tych szczęśliwców, którzy mogli sobie na nie pozwolić, których zapraszano na stypendia – wyjazdy zagraniczne. Julia i Artur spędzili wiele lat za granicą, w USA i we Francji, były to pobyty wypełnione pracą na uniwersytetach i także działalnością przekładową.

Te dwa języki, francuski i angielski, były dla Julii Hartwig bliskim pograniczem. Fascynował ją Guillaume Apollinaire (Wilhelm Kostrowicki), ten wielki poeta, który długo postrzegany był w Paryżu jako egzotyczny przybysz, metek, Apollinaire, którego wojenne wiersze nasycone są entuzjazmem, podczas gdy inni europejscy poeci pisali o rozpacz i beznadziei okopów – tak jakby chciał czy musiał udowodnić, jak bardzo jest Francuzem. Napisała o nim świetną książkę, tłumaczyła też innych poetów francuskich. Lubiła Francję, może nawet kochała ten kraj, Paryż, Normandię czy Prowansję. Ale interesowały ją także Stany Zjednoczone i poezja amerykańska; razem z Arturem Międzyrzeckim wydała cenioną antologię poetów USA.

W jej wierszach, czytanych teraz jako dzieło już zakończone, widzimy powolny proces alchemicznej sublimacji. Wiersze wcześniejsze nasycone są środowiskiem realnych ludzi i przedmiotów, wziętych niemal *in crudo* z obserwacji rzeczywistości. Także i później rzeczywistość nie znika z jej poezji, podlega jednak oczyszczeniu, wiersze są coraz krótsze, coraz bardziej filozoficzne, nasycone refleksją. Dotyczy to szczególnie – ale nie wyłącznie – cyklu *Błysków*, wierszy gnomicznych, sąsiadujących z cytatami, aforyzmami. Od obserwacji do mądrości, tak można by określić drogę tej znakomitej poetki – z tym, że element obserwacji do końca pozostał tłem jej wierszy, nie złotym tłem, jak w obrazach Bizancjum, lecz żywym, zróżnicowanym *chiaroscuro* doświadczenia.

Jej poezja jest delikatna jak teatr cieni. Najdelikatniejsza. Gesty poetyckie są tu lekkie i dyskretne. A jednak spełnia się tutaj to, co jest może najważniejszym zadaniem poezji: te wiersze odsyłają nas chwilami do czegoś innego, do innego świata. Innego niekoniecznie w sensie religijnym – prowadzą nas do świata, o którym niewiele da się powiedzieć, bo istnieje w błyskach właśnie, w krótkich chwilach,

w błyskawicach, nad obłokami, nad pogodą, a jednak jest życiodajny, niezbędny.

Jeden z tomów jej wierszy nosi tytuł *Nie ma odpowiedzi*. Poczucie, że mało wiemy, prawie nic, że i w życiu prywatnym, i w sferze metafizycznej otaczają nas mury obronne tajemnicy, wciąż powraca w jej twórczości. Nie prowadzi jednak ani do zamknięcia, ani do rezygnacji. Przeciwnie, zdawało się, że liryzm jej poetyckiego głosu zyskiwał jeszcze na sile, jakby niepewność poznawcza, sceptycyzm – w niczym niepodobne do ascetycznych, pedantycznych zaprzeczeń Koła Wiedeńskiego – dodawały jej tylko odwagi.

Jej poezja rozkwitała wolno i wspaniale; ona sama z pewnością miała świadomość tego, że – w odróżnieniu od wielu innych poetów i poetek, tracących z wiekiem świeżość wyobraźni – jej głos brzmiał mocniej z każdym tomem, stawała się wielką księżną polskiej literatury. Tak jakby starzenie się jej nie dotyczyło, przynajmniej nie w sferze twórczej. Rosnące uznanie przyjmowała być może nie bez rozbawienia, ale też, jestem pewien, z wdzięcznością wobec losu. Podczas gdy tyle talentów musi się obyć bez uznania, a sukces przypada nieraz miernotom, jej twórczość była coraz bardziej doceniona. Musiała wiedzieć, że zasługiwała na te hołdy. Zapewne patrzyła na to jak na rodzaj ironii, najwyższej, dobrotliwej ironii spełnionego i pełnego gorczy życia.

Adam Zagajewski